

Dawid Juraszek

Rzyg

Pierwodruk w antologii „Nowe idzie”

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

...byłbym nie postrzegł niczego, gdyby nie przypadek. Wracać zwykłem z wyziewni dopiero po zmierzchu, ale tego dnia gnoju dowiedziano mniej, gdyż wielu zbierarzy ujawniono i wydano za wały Grodu, tedy parę kołowrotów trzeba było zwolnić. Przyszedłem właśnie, gdy żona ślady uprzątała. Gniew mnie wziął, bo niczego aż dotąd nie wiedziałem, wierzyłem jej i powodów nigdy nie miałem podejrzewać. Żalność też zdjęła mnie wielka, czego wstydzę się i za co o wybaczenie proszę. Znając wszak powinności swe...

Spytek podniósł głowę znad wielokrotnie zdrapywanego, nieledwie prześwitującego płata skórznicy i wgapił się przez ościeże na pagórek pocięty grządkami grochowego pola. Broniący się od wydalenia robotnik nagle przestał jawić mu się chytrym kłamcą, a zaczął łatwowiernym prostaczkiem. Przecież i on żony całymi dniami nie widywał, a wróciwszy do domu kładł się znużony, ledwo co z nią rozmawiając. Wątpliwość w głowie nie pozostałaby mu jednak, gdyby Olsza ostatnio nie popatrywała nań przeciągle. Czy była to radość, że wreszcie wrócił, czy złość?

Zacisnął powieki, przetarł oczy pięściami, wstał od stołu. Nawał płatów z zeznaniami domagał się uwagi, ale Spytek odwrócił się i poszedł w kąt izby, gdzie z powalanej polepy sterczał przerdzewiały wód. Stanąwszy jak najdalej, by nie zachlapać nogawic, nachylił się i pociągając miarowo za skrzypiącą dźwignię, zmoczył w wodzie kudłaty łeb. Wiedział, że goniec patrzy nań teraz z przerażeniem wymieszonym z podziwem, ale śledczego nie ciekawił osąd sługi. Puścił dźwignię, zacerpnął do ust cennej acz stęchłej wody i wyprostowawszy się, rozkoszował laskotaniem strużek ciekących mu po plecach.

Liczba płatów nie zmalała, ale kościana pieczęć zdawała się jakby lżejsza. Spytek wahał się tylko chwilę. Robotnik nie należał do biedoty, a Gród potrzebował środków. Zresztą powinien był lepiej pilnować żony. Pieczęć uderzyła o skórnicę, zostawiając odbicie kopcia. Słabe, ale wymowne. Jeśli zalecenie zostanie uznane, jeszcze dziś robotnik wyląduje z żoną w Podgrodziu. O ile wcześniej jej nie zatłucze.

– Odnies – mruknął Spytek, wskazując gońcowi opieczętowane już płaty. Było ich mniej, niżli powinno, ale nadrobi się jutro. – A rychło!

Kiedy ucichł odgłos pięt chłopaka na ubitej glinie, Spytek narzucił lekki niebieski przybór, przypasał odznakę śledczego tak, aby móc natychmiast ją podnieść, i wyszedł, nie patrząc ku śledczym z sąsiednich izb.

Mijając róg budynku, bezwiednie wyciągnął dłoń ku grochowym tyczkom. Śledczemu nikt nie śmiałby zwrócić uwagi. No, może członek Najznamienitszej Rady. Ale nawet, gdyby Radzca zauważył chciwie wyciągnięte ku strączkom palce Spytka, pewnie nie rzekłby nic. Po co, skoro grochu po prostu nie było – z powodu upałów i z braku rąk do roboty zagony od dawna stały odłogiem.

Nieliczni przechodnie sunęli przygarbieni tuż przy ogaconych gliną ścianach. Spytek pochylił głowę, kiedy słońce wychynęło zza strzechy; promień raził oczy przywykłe do półmroku izby. Pochylił wzrok tylko po to, by zobaczyć pod ścianą plamę rzygowin. Nachylił się i dotknął – były jeszcze ciepłe. Zacisnął szczęki, poderwał głowę, rozejrzał się. W głębi ulicy majaczyła dwójka.

– Strzeżcy! Tu! – huknął, wyciągając w górę odznakę.

Podbiegli gorliwie, ale to nie uchroniło ich przed wściekłym kopniakiem.

– Gdzie to łazicie, psiekrwie! – wrzasnął. – Ktoś rzygał tu ledwo co, a wyście się przechadzali, po strzechach spoglądali! Szukać mi go zaraz!

Mamrocząc przekleństwa patrzył, jak dwójka rzuca się w ślepy pościg. Nie mieli żadnej możliwości znalezienia sprawcy, o ile znów nie zaczną rzygać, ale wystarczy, jeśli wbiją sobie do głów, by zawsze mieć oczy naokoło głowy. Potoczył wzrokiem po udających obojętność przechodniach i ruszył dalej.

Wąska uliczka ustąpiła wkrótce rozległemu obszerzowi pod Świątynią Wzgórną. Zwykle

pełen był ław, z których ludzie z całego miasta sprzedawali mięso, jarzyny, jaja, łojówki i wszystko, czego tylko wyrobem się trudnili. Ale odkąd nie stało kupujących i sprzedających, odkąd zbiory przejmować zaczęła Rada, odkąd wielu bało się wychodzić z domostw, obszerz opustoszał. Obecnie jedynie świątynnicy stale zeń korzystali.

Jak teraz.

Naga skalna opoka, zwieńczona kamiennymi zabudowaniami świątynnymi, odcinała się ostro od otaczających ją łagodnych wzgórz pokrytych uprawami. Tylko od strony obszerza na szczyt prowadziła stroma dróżka.

Świątynnicy w długich białych przybiorach udawali się właśnie na kolejny ze swych pochodów. Łuczywa ledwo pełgały w popołudniowym słońcu. Będą chodzić z nimi po mieście, dopóki ostatnia pochodnia się nie wypali.

– Oby deszcz nie spadł, obyście zdechli z pragnienia...

Złorzeczenia mamlął pod nosem łusy jak kolano dziadek. Kuśtykając przez obszerz, wygrażał pięścią odległym świątynnikom. Spytek zrazu się najeżył, ale widząc nikczemną postać, udał, że nie słyszy. Miał do roboty rzeczy ważniejsze.

I poważniejsze.

Jeśli Olsza...

Nie czekając, aż wszyscy świątynnicy zejną na obszerz i ruszą z pochodniami między domy, zanurzył się w cieniu wąskich uliczek, przy jednej z których znajdował się jego dom. Mimo wielu lat śledczenia nie dorobił się jeszcze lepszego miejsca. Ale jeśli wysiedli wystarczająco wielu przestępców, i dla niego w końcu coś się znajdzie. Olsza tak czekała na ten dzień.

A może wcale nie.

Przyśpieszył kroku. Podejrzenia w jego głowie potęgowały się, wywołując nieznośny zamęt, choć nakazywał sobie myśleć rozsądnie. Jeszcze ta uliczka, jeszcze tu skręcić... już.

Okno było otwarte, ale on podszedł do drzwi z powiązanych ciasno gałęzi. Wiedział dokładnie, przez którą szparę po wykruszonej glinie do wnętrza wpada najwięcej światła. Nachylił się i zajrzał do izby. Szczęściem płachtę odsunięto na bok. Wnętrze było jaśniejsze niżli zwykle, odkąd odsłonił otwór w strzesze. Szybko omiółł wzrokiem leże zasłane zgniecionymi grochowinami. Żony nie było. Spojrzał ku wyjściu na tyły, skąd dochodziło gdakanie. Poczul, jak rozkołatanе serce zaczyna się uspokajać. Przecież nie krzątałaby się przy kokoszach, gdyby...

Gdakanie rozległo się głośniejsz, w wejściu pojawiła się Olsza. Gieżło miała uładzone, w ręku ścierkę. Uśmiechnął się i już miał wchodzić, kiedy kobieta pochyliła się nagle i dziwnie jęknęła. Poczul, jak włos jeży mu się na głowie.

Olsza rzuciła ścierkę i chwyciła się za brzuch. Chwilę mocowała się z sobą, by wtem odwrócić się i ruszyć z powrotem na tyły. Zatrzymało ją trzeszczenie drzwi. Obróciła głowę.

Spytek patrzył na żonę bez słowa. Chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Witaj – szepnęła wreszcie Olsza, prostując się z trudem. Błady uśmiech wypełził jej na usta. – Polewka jeszcze nie gotowa, ale może podplomyk zjesz z surowym jajkiem...

Pokręcił głową i powoli wkroczył do środka. Olsza zagryzła wargi i podeszła do paleniska. Palnik wyziewowy był bezczynny, odkąd z powodu niedostatku wody ograniczono kisenie gnoju. Spytek stanął i patrzył, jak żona nachyla się, by podsycić żar pod kociołkiem.

Wstrząsnęło nią raz i drugi, ale nie wydała z siebie dźwięku. Uważnie spozierał, jak drżącą dłonią wsuwa gałązki między niewygasłe szczapki. Czekał, czy dmuchnie.

Ale Olsza wyprostowała się i sięgnęła na półkę po łyżkę.

– Dmuchnij, bo zagaśnie – mruknął.

Zamarła, nie patrząc w jego stronę. Widział dokładnie, jak stara się głęboko, lecz cicho oddychać.

– No dmuchnij – powtórzył.

Pochyliła się, zamknęła oczy. Wbił wzrok w jej skupioną twarz. Wargi Olszy rozchyliły się, żar rozbłysnął. Wyprostowała się i z uśmiechem ulgi spojrzała na męża.

Ale on nie odwzajemnił spojrzenia.

Patrzył na upuszczoną ścierkę.

Nie sprzeciwiła się, kiedy podszedł i podniósł strzęp starego wdzenia.

Szmata cuchnęła rzygowinami.

Z zaciśniętymi zębami i ściśniętym sercem zostawił Olszę w izbie i poszedł na tyły, do kokoszy. Słońce chyliło się już ku zachodowi, promienie omijały wąskie podwóreczko. Zbyt wiele razy widział już jednak rzygowiny, by nie dostrzec ich nawet w półmroku i pośród kurzych odchodów.

Kiedy wrócił, Olsza siedziała na leżu, zakrywając usta dłońmi. Spomiędzy zaciśniętych powiek ciekły łzy. Stał nad nią i uniósł odznakę śledczego.

– Wedle mocy od Najznamienitszej Rady użyczonej ja, Spytek, syn Dobka, śledczy, powziąwszy wiedzę o występku...

Reszta jego słów utonęła w jękach rzygającej Olszy.

Suchy wiatr smagał twarz Spytki. Ciepłe podmuchy niosły woń Grodu i żadnej zapowiedzi ochłodzenia. W nieubłaganym upale topniały nadzieje na nadejście deszczu, ale susza przecież kiedyś się skończy. Może ten wiatr przywieje z sobą chmury?

Śledczy otworzył oczy. Powoli zapadał wieczór, rozpalano co drugie uliczne świecidło wyziewowe, wieżyczki potężnego kamiennego wału migotały ogniskami, a on wciąż czekał na orzeczenie. Westchnął niecierpliwie i wstawszy, zaszeleścił butami po zrudziałej trawie porastającej wzgórzu. Strzeżca przechadzający się przy ostrokole poniżej odwrócił się i poprawił na ramieniu łuk. Spytek zazgrzytał zębami. Gdyby tak wywiedzieć się o imię zuchwalca, a po powrocie na stanowisko...

Jeszcze mocniej zacisnął szczęki. To, że nad jego przypadkiem obradowała sama Rada, było dobrym znakiem, ale śledczy nie mógł opędzić się od złych myśli. Wiedział doskonale, jak szybko za wałem znikali wszyscy urzędnicy, którym udowodniono ukrywanie zbrodni. Na jego korzyść przemawiało tylko, że sam ujawnił występki. Oraz to, że Gród ostatnimi czasy stracił wielu mieszkańców, w tym także urzędników. Spytek był śledczym niższego stopnia, ale tacy również stali się ostatnio zbyt cenni.

Zaklął głośno, a potem jeszcze raz ciszej, kiedy nędznik strzeżczyzna spojrzał znacząco w jego stronę. Wszystko przemawiało na korzyść Spytki, o czym więc Radzcy tyle rozprawiali nad zeznaniem? Przecież nawet nie powstało mu w głowie, by ukryć zbrodnię żony, przecież osobiście wydalil ją z miasta!

Wrócił na ławę, ale nie mógł spokojnie usiedzieć. Wyjął spod wdzenia krzesidło i jął zabawiać się tryskaniem iskier, choć trawa była sucha jak wiór. Troska o własną skórę wyparła zeń na pewien czas myśl o żonie, ale teraz wątpliwości wróciły. Nie pytał, co zrobiła, ona też nie próbowała niczego wyjaśniać, tylko łzy lały jej się ciurkiem spod powiek. Kiedy patrzył, jak opustnia z Olszą wędruje w dół, za wał, nie wiedział, czy chce, by podgrodzianie przywitani ją pocieszającym tuleniem, czy bezlitosnymi kopniakami. Kiedy uniosła twarz i popatrzyła na męża, odwrócił się bez słowa, choć na usta cisnęło mu się pytanie: jaki straszny czyn popełniłaś, że Czterolicy ujawnił go światu?

I co w ogóle działo się z grodzianami?

To już nie było pytanie do Olszy, lecz do takich jak on śledczych, oraz do Radzców. W ostatnich miesiącach najgorsza od niepamiętnych czasów susza zbiegła się ze znacznie częstszymi niżli zwykle zbrodniami mieszkańców. Spytek nie miał pojęcia, jakie straszliwe przestępstwa popełniali, ale prawda pozostawała prawdą – ujawniających zbrodnię znaków od

Czterolicego było ostatnio więcej niżli kiedykolwiek. Większość cierpiała na rzyg, co kazało podejrzewać, że popełniają podobną zbrodnię. Nie tacy jak Spytek łamali sobie nad przyczyną głowę. Wstępnym wyjaśnieniem była kradzież wody, ale nie tylko przypadek Olszy dawał Spytкови powody sądzić, że nie o to chodzi.

– Radzą.

Pomłost podszedł niezauważony. Chowając krzesidło Spytek spojrział pytająco na przełożonego. Starszy mężczyzna o sumiastych wąsach wzruszył ramionami.

– Dziesięciu postanowiło. O czym, tego mi nie wiadomo, ale skoro jeno dwóch zostało już do przekonania, to orzeczenie powinno wnet zapaść...

Spytek skinął głową i popatrzył przed siebie. Kolejny pochód świątynników schodził ze Wzgórnej Świątyni nieśc otuchę i niebezpieczeństwo pożogi. Tym razem udawali się ku północnej części miasta, gdzie znajdowała się wyziewnia. Oby nie mylili się wierząc, że Czterolicy odegna groźbę wybuchu.

Pomłost wciągnął powietrze. Spytek zamarł; nie chciał odpowiadać na żadne pytania, nie chciał niczego potwierdzać ani niczemu zaprzeczać. Wiedział jednak, że Pomłostowi odpowiedzieć będzie trzeba. Nawet przy przychylnym orzeczeniu Radców to od zaufania przełożonego zależeć będzie, jakie zajęcie dostanie Spytek. I czy nie będzie sam go sobie szukał.

Ale Pomłost nie zdążył zadać pytania, kiedy z wnętrza budynku dobiegło wołanie. Spytek poderwał się i odpędzając złe myśli wszedł za przełożonym do siedziby Najznamienitszej Rady.

Przechody wypełniała ciemność. Spytek wyczuwał, że w mijanych przejściach czają się wydalcy, najlepsi z grodzkich strażców, o dołączeniu do których niegdyś marzył. Czekali na znak, żeby wziąć winnego ze sobą. Przejął go chłód.

W izbie obrad jeszcze paliły się łożówki i unosił się zaduch zażartej rozmowy, ale urzędował już tylko woźny. Na widok Spytka podniósł płat skórznicy i powoli odczytał treść orzeczenia.

– Wedle mocy od Najznamienitszej Rady użyzionej ja, Żywoch, syn Straża, woźny, ogłaszam orzeczenie: winien.

To rzekłszy, począł gasić kopzące świeczki jedna za drugą. Izba pociemniała, Spytкови pociemniało w oczach.

Czekało go zesłanie do Podgrodzia.

Za plecyma Spytka stanęło zniecka trzech wydalców. Mężczyźni w długich szarych przybiorach i głębokich nakrywniach na głowach zdarli ze skazańca przybiór śledczego, zostawiając go w bezrękawym wdzieniu. Potem dwaj ujęli go pod ręce, trzeci boleśnie za nasadę karku i poprowadzili na zewnątrz.

Pomłost ulotnił się bez śladu. Pewnie krył się gdzieś w mroku przechodów siedziby Rady, zdjęty strachem, by nie dołączyć do podwładnego. Zbrodnia kaziła całe otoczenie. Inaczej Spytek nie zostałby zesłany do Podgrodzia za przestępstwo żony...

Szarpnął się, sprawiając tylko, że wydalcy chwycili go jeszcze mocniej. Przecież nie miał na sumieniu żadnej zbrodni! Nie zrobił niczego złego! Czemu Rada uznała go za winnego? Przecież nawet nie rzygał!

Szarpnął się ponownie. Tym razem zdołał wyswobodzić jedno ramię. Nie na długo jednak. Jęknął, kiedy obie ręce boleśnie mu wykręcono, a idący z tyłu wydalca wpił mu palce w kark i przemocą pochylił głowę. Wyszli z siedziby i ruszyli ku wrotom. Spytek zobaczył tylko buty strażcy, któremu jeszcze tak niedawno chciał pokazać, kto tu rządzi.

Wóz gotów na taką okoliczność stał już zaprzężony w wychudłego wołu. Spytek nie wiedział, czy jęknął, padając na twarz; uderzenie na chwilę go zaćmiło. Dwóch wydalców usiadło po jego bokach, trzeci wskoczył na kozioł. Wóz ruszył.

Spytek powoli przekręcił się na plecy i otarł z krwi rozbity nos. Ostatnie blaski dnia

zdążyły już zniknąć, po nocnym niebie rozsypały się gwiazdy. Pośród skrzypienia wozu skazaniec próbował pozbierać myśli, znaleźć jakieś rozwiązanie, ulżyć swojej doli.

Nic z tego. Niechybnie już niebawem znajdzie się w Podgrodziu, pośród zbrodzeni.

Może spotka żonę?

Jeśli w ogóle jeszcze żyje.

Zacisnął zęby. A może Olsza była niewinna? Ale przecież rzygała! On za to nie rzygał, a też uznano go za winnego. Bez żadnych podstaw, bez żadnego...

Przecież nawet nie miał majątku wartego zagarnięcia!

Uderzył dłonią w dno wozu. Wydalcy odpowiedzieli błyskawicznie: dobrze wymierzony kopniak wycisnął z ust Spytka jęk. Skazaniec zmrużył powieki i znieruchomiał. Jeśli chciał przeżyć podróż...

Tylko po co?

Zamęt myśli stawał się nie do opanowania. Pod powiekami Spytka trzepotały migotliwe obrazy: Olsza, strzeżcy, rzygowiny, Radźcy, skórznica, Pomłost, świątynicy, a w uszach brzmiało słowo „winien” i płacz żony.

Być może jeszcze tej nocy się przekona, czy Olsza mu wybaczy.

A może wcale nie chciał się przekonać?

Zdusił jęk, próbując tak samo zdusić kielkujący sprzeciw. Nic nie było jak trzeba. Czy ktokolwiek mógł wydawać zbrodniczych bliskich, skoro jego samego nie chroniło to przed wydaleniem? Jak można było wydalać za wały kogoś, kogo zbrodni Czterolicy nie ujawnił dolegliwym znakiem?

A przecież sam jeszcze tak niedawno... Zmełł w ustach przekleństwo i otworzył oczy. Wypełnione mrokiem nakrywnie podrygiwały do wtóru kolebiącego się wozu. Wydawały się puste, jak gdyby pod szorstką tkaniną nie było nic.

Zebrał w ustach ślinę i splunął.

Wydalca nie zdążył jeszcze otrzeć z niewidocznej twarzy plwociny, kiedy jego towarzysz już raz i drugi zasadził Spytкови solidnego kopniaka. Jeśli jednak spodziewał się, że jeniec się uspokoi, grubo się pomylił.

Spytek, zamiast lec zboląły na wozie, podniósł się nagle i wymierzył mężczyźnie cios pięścią w brzuch.

Wrzawa kazała powożącemu strzeżcy odwrócić się. Widząc bijatykę, zatrzymał wołu i przeszedł z kozła na wóz.

Jeńca trzeba było powstrzymać od popełnienia kolejnej zbrodni.

Zbrodni porwania się na orzeczenie Rady i godność wydalców.

Ciemność podrygiwała miarowo. Spytek próbował rozejrzeć się po otoczeniu, ale nadaremno. Oszołomiony, wyczuwał, że jest ciągnięty po ziemi, że tyłka i nóg przed podłożem nie osłania już podarte wdzienie i nogawice, ale skąd i dokąd go wleczono, nie umiał ustalić, dopóki nie uświadomił sobie, że ma przymknięte powieki.

Próbował je unieść, ale rozwierzały się niechętnie, jakby sklezione. Wreszcie wyswobodził z opornej mazi lewą powiekę i uniósłszy głowę, spojrzął przed siebie.

W prześwicie między wrotami mignął w mroku wóz zaprzężony w chudego wołu. Wokół rozprzestrzenił się podwórzec oświetlony paroma pelgającymi świecidłami. Pod ostrokołem przechadzały się zbrojne postaci.

Znajdował się w strzeżnicy, skąd wydalonych spuszczano za wał, do Podgrodzia.

Pozwolił głowie opaść w tył. Wydalca włókł jeńca za spętane dłonie. Przed nim w mroku ginęły postaci pozostałych dwóch. Spytek dopiero teraz odczuł ból rozcinanych szorstkim powrozem nadgarstków, dartej chropawą ziemią skóry, obitej twarzy, skopanego brzucha. Gdyby takie obrażenia uznawać za oznakę zbrodni, to popełnił zbrodnię.

Zbrodnię przeciwstawienia się władzy.

Zdławił w sobie chęć wyrwania się, stawienia oporu. Po pierwszej próbie stracił przytomność; drugiej mógł nie przeżyć. A nie o to przecież chodziło.

Szarpnęło; Spytką wleczonego do wieży, skąd schodziła na dół opustnia. Zaraz zaczynały się skąpo oświetlone łuczywem kamienne schody, wijące się kręto ku wierzchołkowi. Trzeba było wstać, zanim wydalca go do nich dowlecze.

– Czekaj – jęknął, potrząsając rękoma. – Sam pójdę.

Mężczyzna przystanął i odwrócił się. Patrząc przez mrok w niewyraźny zarys nakrywni Spytek zastanawiał się, czy to jego oplwał? A może wałnął w brzuch? Wiedział tylko, że wleczenie ciężaru po podwórku było wystarczająco męczące, żeby zniechęcić każdego do wciągania go po schodach.

Wydalca szarpnął powrozem, wyciskając z ust skazańca syk bólu.

– Wstawaj – zaskrzeczał.

Spytek nie kazał sobie dwa razy powtarzać. Przekręcił się na bok i z trudem podniósł. Nie pomagało mu to, że strzeżca cały ten czas szarpał postronkiem. Ledwo Spytek zdołał się wyprostować, wydalca odwrócił się i pociągnął jeńca ku schodom.

Spytek zagryzł wargi i posłusznie udał się za nim.

Stare schody wytarły setki i tysiące stóp, które wydeptywały drogę na górę od niezliczonych lat. Utrudniało to wspinaczkę, ale dawało poobijanemu Spytkowi łatwy powód do częstego potykania się i zwalniania pochodu. Wydalca szarpał powróż bezlitośnie, ale niepostrzeżenie zostawał w tyle. Wreszcie dwóch pozostałych strzeżców oddaliło się wystarczająco daleko. Skazaniec nie mógł już dłużej zwlekać – od wierzchołka wieży dzieliły go zaledwie dwa zakręty schodów. Zebrał wszystkie siły, sprężył się w sobie i szarpnął za powróż.

Wydalca, który podnosił właśnie nogę do kolejnego stopnia, z głośnym wdechem runął do tyłu, wypuszczając z ręki postronek. Spytek zapał się o ścianę, kiedy mężczyzna przelatywał obok. Gdy ten z ciężkim stękiem upadł plecyma na schody, skazaniec ugiął nogi i skoczył, mierząc skórzanymi podeszwami w szyję strzeżcy. Padły w ostatniej chwili usunął się z drogi; uderzenie stóp o schody ozwało się głuchym łomotem w pieszczelach Spytki. Wydalca nie czekał, aż przeciwnik pozbiera się po nieudanym natarciu, tylko mocnym uderzeniem pięści w tył kolana wybił go z równowagi. Spytek jęknął, cudem nie rozbijając głowy o ścianę. Nie minęło okamgnienie, a już cios w plecy nieomal wyrwał z jego ust jęk bólu. Zamroczyło go, lecz na wpół przytomnie odepchnął się od ściany i runął tyłem na podnoszącego się wydalcę. Ten zbierał już się do ostrzegawczego wołania, ale stęknął tylko, kiedy jego zebra zatrzeszczały pod ciężarem Spytki. Jeden cios złączonych pięści skazańca złamał mężczyźnie nos, drugi i trzeci pozbawił zębów. Twarz mężczyzny oblała się krwią, kończyny znieruchomiały.

Spytek żwawo odpaszał wydalcę, przywłaszczając sobie jego nóż. Ostrze było tępe, ale powróż ustąpił. Rozerwawszy nieprzytomnemu przybiór za piersiach, pod spodem znalazł wdzenie podobne do tego, które sam miał na sobie. Wnet narzucił przybiór wydalcy, związał mu ręce resztką postronka i schowawszy swą twarz pod nakrywnią, powlókł bezwładne ciało ku górze. W samą porę, bo za zakrętem wyrosła przed nim mroczna postać.

– Rychlej – mruknął wydalca i odwrócił się ku rozgwieżdżonemu niebu.

Za każdym razem, kiedy Spytek wchodził na szczyt wieży, Podgradzie zdawało mu się większe. Za dnia końce ginęły zwykle w oparach i dymie, ale nocą światła ognisk i pochodni rozpościerały się het, dokąd okiem sięgnąć. Spytek nie odwrócił się, by ogarnąć wzrokiem Gród. Nie tylko dlatego, że nie chciał zwracać na siebie uwagi; także dlatego, że widok miasta tkwiącego pośrodku tego ogromu przynosił zwątpienie. Nie dziwota, że tylko przedstawiciele władzy mieli prawo wstępu na wały.

Nie czekając na polecenie, przywlókł wydalcę na skraj wieży i zanim którykolwiek ze strzeżców podszedł z pomocą, wepchnął go na opustnię. Odwrócił się, by stanąć przy

wysięgniku prowadzącym ciągnie.

Ale miejsce było już zajęte.

– Idź do kołowrotu – mruknął wydalca.

Spytek nie dał nic po sobie poznać i podszedł do kołowrotu, gdzie czekał już drugi strzeżca. Pochyliwszy głowę, ujął uchwyt. Jego towarzysz przestawił zapadkę, koło zgrzytnęło, gruby powróż zajęczał, opustnia jąła opadać ku Podgrodziu.

A potem stało się coś, czego Spytek chciał uniknąć, stając przy wysięgniku.

Leżący na opustni mężczyzna stęknął, podniósł się i wyjęczał coś do wydalcy.

Gdyby zamiast niego stał tam Spytek, użyłby pięści.

Ale stał przy kołowrocie.

Wydalca puścił wysięgnik i odwrócił się do kołowrotu.

– Łapaj go! To skazaniec!

Strzeżcy nie trzeba było dwa razy powtarzać, ale i Spytek nie był głuchy. Zanim wydalca złapał go za przybiór, dostał cios w twarz, po którym zachwiał się i przewrócił. Skazaniec puścił się biegiem ku krawędzi wieży. Stamtąd chciał zeskoczyć na wał i dalej, między miejskie zabudowania.

Ale strzeżca od wysięgnika był szybszy, niżli jego towarzysz od kołowrotu. W kilku susach dopadł rozpędzającego się Spytka i zgiętym ramieniem opasał mu szyję. Upadli na ziemię, klnąc i złorzecząc.

Spytek wymierzył napastnikowi kilka ciosów łokciem, ale bolesny uścisk nie chciał zelżeć. Wydalca nieubłaganie zaciskał ramię. Spytek czuł, że jeśli się nie udusi, to trzaśnie mu kark. Wił się i szamotał, ale na próżno.

– Ratuj, kto może! Ucieczka!! Ucieczka!! – wydarł się nagle spod kołowrotu przebudzony z oszołomienia strzeżca. Spytek jął szarpać się jeszcze raźniej. Wtem pośród czerwonego mroku i łomotu krwi w jego umyśle rozbłysł zbawienny pomysł. Drżącymi rękoma sięgnął do pasa, gdzie zawiesił był nóż.

Wydalca spod kołowrotu podniósł się i biegł pochylony ku związanym walką mężczyznom, kiedy do jego wołania dołączył ryk cierpienia jego towarzysza. Skazaniec wbił napastnikowi ostrze w bok. Uścisk zelżał, Spytek szarpnął się i wyrwał. Drugi wydalca zaklął i dobył swego noża, ale nie zdążył go użyć, kiedy okrwawione ostrze utkwiło mu między żebrami.

Od strony schodów dobiegł tupot, na jednej z sąsiednich wieżyc dorzucono do ogniska, płomienie oświetliły ciemne postaci biegnące po wale. Skazaniec rzucił się ku krawędzi wieży.

W mroku trudno było ocenić odległość; mogła wynosić od czterech do sześciu łokci. Trzeba było zaufać pamięci. Spytek przerzucił nogi przez krawędź i spuścił się na trzymany za plecyma rękach, a potem zeskoczył. Ugięcie nóg nie wystarczyło, przewrócił się na bok mocno się obijając, ale pomimo mdlącego bólu rozlewającego się po całym ciele, zerwał się i opuścił nogi wzdłuż lica wału.

Stąd na dół było jeszcze dalej. I jeszcze ciemniej. W mroku majaczyły zarysy zabudowań pod samym częstokołem strzeżnicy. Wyteżając wzrok, znów spuścił się na rękach, a potem runął w dół.

Ciemność załamała się pod nim z trzaskiem. Jakieś kołki boleśnie poraniły mu nogi, w plecy uderzyła niewidoczna kłoda. Wyrwał się z uwięzi połamanych drew i puścił biegiem przed siebie. Za nim coraz jaśniej błyskały płomienie i głośnie rozbrzmiewały krzyki pogoni.

Biegł co tchu, błogosławiąc w myślach suszę, nie pozwalającą zasilać miejskich świecideł ze zwykłą mocą. Przemykał mrocznymi uliczkami, byle prędzej, byle dalej. Jakiś czas towarzyszyła mu wrzawa pogoni, potem umilkła. Podążał w głąb Grodu, póki mięśnie nie zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Wreszcie wpadł do jakiegoś zaułka i wczółgawszy się pod kupę odpadów roślinnych wystawionych dla zbierarzy, spoczął zdyszany.

Nie miał złudzeń.

Prędej czy później go złapią.
Pobił, może zabił ludzi.
Ale pomimo wszystkich ran i sińców czuł się zdrowy.

W głuchej nocy szelest wysuszonych łądyg niósł się daleko. Odgłos kroków też. Ale te ostatnie dawno już oddaliły się ku innym częściom miasta. Obława zgubiła ślad.

Spytek wstał, otrząsnął się z paprochów i ostrożnie wyjrzał z zaułka. Blado jarzące się odległe świedla nie wyławiały z mroku nikogo. Spojrzał po sobie. Pogoń na pewno wiedziała, że zbieg nosi przybior wydalcy; z drugiej strony, właśnie dzięki znamiennej nakrywni mógł uchodzić za członka obławy, którego lepiej nie tykać. Nawet, jeśli ktoś go zoczy...

Zaklął, oparł się plecyma o ścianę. Dłuższą chwilę badał swe samopoczucie. Poza strachem ściskającym za gardło, wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku. I właśnie dlatego niczego nie rozumiał. Jego przewina, choć spowodowana niesprawiedliwością orzeczenia Radźców, była niezaprzeczalna. Powinien był już dawno dostać krwotoku, skręcać się z brzusznych boleści czy owrzodzić. Tymczasem dolegliwości ograniczały się tylko do ran odniesionych w walce. Przez lata obcowania ze śledzonymi i skazanymi nigdy nie uznawał samych takich przypadłości za znak od Czterolicego.

Czemu zatem Czterolicy nie chciał ujawniać jego zbrodni?

Chwycił się za skronie. Wiedział, że popełnił zbrodnię, napadając na wydalców, prawdopodobnie ich zabijając. A przecież Czterolicy nie zsyłał nań słabości, choć pewnikiem wiedział o jego czynach. Spytek uderzył potylicą w ścianę; ból sprawił mu krótką radość. O ile bardziej wolałby cierpieć teraz bolesne znaki! Przynajmniej kiedy zostanie schwytany będzie wiedział, za co otrzyma karę. A tak miotał się i cierpiał tylko w duchu, nie wiedząc, co myśleć.

Ale...

...czy należy...

...wątpić w mądrość boskich wyroków?

Skoro Czterolicy wiedział o jego przewinach, a jednak nie ujawniał ich światu, nie ukarał boleścią, to czy mogło to znaczyć, że mu przebaczał?

Wstrzymał oddech.

Może Czterolicy miał go za niewinnego?

Ale czy Spytek mógł być winny? Przecież jako jedyny z rodzeństwa nie zapadł w niemowlęctwie na dolegliwości, zdradzające, że w dorosłym życiu dopuści się zbrodni. Jego trzy siostry i dwaj bracia nie umieli jeszcze mówić, kiedy wydalono ich do Podgrodzia. Jemu jednemu dane było dożyć dorosłości i wieść uczciwe życie. Sam wydalili za wał dwoje własnych niegodnych potomków, zanim Olsza nie stała się jałowa.

...niewyraźna postać ojca, zatroskana twarz matki...

Zacisnął powieki. Jakiś zetlały obraz stanął mu przed oczyma, jakieś palące uczucie w piersiach i mdlące zawroty głowy uczeły się jego pamięci. Coś wróciło z najmglistszej przeszłości, z najgłębszych zakamarków wspomnień.

Może to była zapowiedź bezceństw, których się dziś dopuścił? Lecz skoro jego rodzice ukryli przyszłe przestępstwa syna, czemu dożyli spokojnej śmierci? Jeśli ukrywali siebie nawzajem, czemu Czterolicy nie poraził ich jednocześnie? Przecież i takie domy bywały, w których znak zbrodni spadał na całą rodzinę. Spytek nie raz i nie dwa zalecał w takich sprawach wydalenie.

Lecz czy wszystkie sprawy były tak jednoznaczne? Czy mógł rzec, że sam zawsze orzekał rzetelnie? Czy przez kilka lat śledzenia nie popełnił błędu? Skoro nawet Radźcy się mylili, jak w jego przypadku...

A może rozpoznali znak Czterolicego, zanim się pojawił? Może chcieli uprzedzić to, czego miał dokonać już wkrótce?

I czy zbrodni nie popełniali ludzie, których przyszłości Czterolicy nie ukazał w dziecięctwie?

Sapnął, zazgrzytał zębami. To wszystko nieważne, nieważne! Czterolicy nie ukarał go teraz, a jedynie teraz się liczyło. Czyżby mógł wciąż wrócić do zwykłego życia?

Tylko czy Radzcy go uniewinnią? Już raz pokazali, że nie potrzebują znaków od Czterolicego, by skazywać.

A i oni nie cierpieli za zbrodnię niesłusznego orzeczenia.

A może właśnie cierpieli? Skąd mógł to wiedzieć?

Czemu w takim razie nie cierpieli też wydalcy, męczący niewinnie skazanego?

Może dlatego, że był jednak winny?

Spytek wykrzywił twarz. To było ponad jego siły. Nie wiedział, dokąd iść, co począć, gdzie się obrócić. Potrzebował kogoś, kto zda mu sprawę z prawdy, doradzi, jak postępować, pomoże wybrać. Kogoś stojącego z boku, niespętanego prawidłami przepisów ani obowiązkami Najznamienitszej Rady.

Świątynnika.

Żercy.

Spytek uczeplił się tej myśli z całej mocy. Znalazł oto powód ucieczki przed wydalcami.

Ucieczki zbrodniczej.

A może całkiem przeciwnie.

Wiatr ciągnący przez obszerz pod Wzgórną Świątynią wzbijał gryzący pył. Spytek wahał się przez chwilę, któredy zdążyć ku opoce. W dzień oczywistym wyborem byłby cienisty chodnik pod pierzejami, ale nocą to pozbawiony świecideł środek obszerza dawał lepszą osłonę. Poprawił na głowie nakrywnię i ruszył szparko przed siebie.

Czym bliżej była Świątynia, tym usilniej Spytek roztrząsał, jak dokładnie dostać się do środka. Jako pozorny wydalca mógł ruszyć główną dróżką niby to z ostrzeżeniem dla świątynników przed groźnym zbiegiem, ale przyciągnąłby w ten sposób zbyt wielką uwagę. Mógł tą samą drogą zgłosić się jako ochotnik na świątynnictwo; to by jednak najpewniej oddaliło go skutecznie od najmędrszych głów Świątyni, których niegodzien byłby prędko spotkać. Mógł wreszcie podać się zgodnie z prawdą za zbiegłego skazańca, szukającego ratunku, a chociaż pociechy przed wydaleniem, ale to naraziłoby Świątynię na spór z Radą, bowiem taki przypadek trzeba byłoby ujawnić, i nie dawałoby Spytкови żadnej pewności dopięcia swego.

Pozostawało przedrzeć się do środka tajemną drogą.

Zbieg jął skręcać. Nie zdążał już ku środkowi podnóża skały, skąd początek swój brała dróżka, lecz ku jej bokowi, na pozór zamierzając przeciąć obszerz jak najkrótszą drogą. Tam zaczynał się znany nielicznym przechód. Gdyby Spytкови udało się dotrzeć nim do Świątyni niedostrzeżony, mógłby jeszcze tej nocy odwiedzić któregoś Żercę i prośbą lub groźbą skłonić go do rozmowy.

Szalony pomysł! powtarzała zbiegowi krew tętniąca coraz szybciej w żyłach, ale on podjął już postanowienie i nie zamierzał go odmieniać.

Posady opoki, wyrastające nagle z powierzchni obszerza, spowijał mrok. Tu nie stały świecideła. Świątynnicy stronili od wyziewu tak samo stanowczo, jak od wody studziennej. Przyświecali sobie łożówkami i pochodniami, pili zaś tylko gromadzoną pieczołowicie deszczówkę.

Zsunął nakrywnię i zadarł głowę do góry. Spozierając ku ciemniejszym od nocy zrębom usiłował przypomnieć sobie, czy słyszał kiedyś o naznaczonym świątynniku. Rzecz jasna zwykli mieszkańcy nie mieli prawa powziąć żadnego podejrzenia względem najczcigodniejszych grodzian, ale śledczym, także tym niższego stopnia, wiadomo było więcej.

Spytek pamiętał zamieszanie, jakie wywołały zbrodnicze znaki u kilku – nigdy nie dowiedział się, ilu dokładnie – członków Rady. Rzecz przeszła niezauważona przez zwykłych ludzi. Być może dolegliwości świątynników znane były tylko najwyższemu urzędnikom, a może wieść o nich nie opuszczała wcale szczytu opoki?

Nasłuchiwał dłuższą chwilę, czy pośród ciemności nie rozlegnie się odgłos zdradzający obecność strażcy. Pokrzepiony wyteżył wzrok i wyciągnął przed siebie ręce w poszukiwaniu kępy krzewów, osłaniającej na pozór nieprzebyte zwalisko szczytujących się głazów. Rozgarnął je najłagodniej jak umiał, ale i tak zaszeleściły donośnie. Zamarł, znów nasłuchując. Upewniwszy się, że jest sam, wsunął się w powstały rozziw i przykucnął pośród kamieni. Drogę znał tylko ze słyszenia, niełatwo mu więc przyszło wymacać wejście do szczeliny. Pomógł mu dopiero wionący z głębi chłód, niezwyuczajny o tej porze roku. Zamknąwszy oczy – i tak były mu na nic – zanurzył się w głuchą czerń.

Wąski przechód piął się stromo i jednostajnie. Schody wykuto wysokie, ich ostre krawędzie – znak, że rzadko tędy przechodzono – pokrywała śliska maź. Spytek na próżno szukał po ścianach jakichś uchwyty; za całą podporę miał nagą skałę. Stapał powoli, świadom niebezpieczeństwa. W tych okolicznościach o śmierć było niebywale łatwo.

Wtem lewą dłonią wpadł w pustkę. Zatrzymał się chwiejnie, tłumiąc przekleństwo. Zmysły już wcześniej ostrzegły go o jakiejś zmianie w otoczeniu, ale dopiero, kiedy jedna ze ścian po prostu się skończyła zbieg pojął, że ma pod nogami przepaść. Przechód wytyczono widać przez ciąg pierwotnych jaskiń.

Spytek opuścił rękę i uchwyciwszy krawędź stopnia, pochylił się, by już na czworakach podjąć wspinaczkę. Nie trzeba mu było wyciągać ręki w lewo, by wyczuć, że wciąż towarzyszy mu pustka. Oddychał szybko, ale starał się nie dyszeć. Nicość wyczyniała z dźwiękami dziwaczne rzeczy.

Przechód poszerzył się nagle, stromizna złagodniała, po obu bokach Spytka na powrót wyrosły ściany. Odetchnął, otarł pot z czoła. Przeprawa kosztowała go sporo sił, a przecież jeszcze nie dobiegła końca.

Nie wiedział, jak długo przyjdzie mu drapać się pod górę. Pamiętał jedynie, że ujście przechodu znajduje się za świątynnym wałem, ale w której części Świątyni, powiedzieć nie umiał.

Wtem z góry dobiegł przytłumiony dźwięk.

Spytek zastrzygł uszyna.

Nad jego głową ktoś się przechadzał.

I mówił.

Skalny pogłos paczył słowa, ale zbiegowi dość było wiedzieć, że dotarł niemal do końca wspinaczki. Teraz trzeba było poczekać, aż rozmówcy się oddalą, i opuścić przechód.

Nie czekał długo. Głosy umilkły, zapadła cisza. Wspiął się jeszcze kilka stopni i dotarł do płaszczyzny. Wyprostowawszy się, podniósł ręce w górę. Nad sobą miał litą skałę. Ale przecież przechód nie mógł kończyć się ślepo. Postąpiwszy w głąb pomieszczenia, wyciągniętymi dłońmi dotknął drewnianej powierzchni. Po chwili miał pewność, że stoi przed drzwiami.

Ale uśmiech spełzył mu z twarzy, kiedy nie znalazł żadnego zamka, żadnego uchwyty. Pchnął drzwi – na próżno; wpijając w nadpróchniałe drewno paznokcie próbował pociągnąć je ku sobie, ale równie nadaremnie. Obszedł całe pomieszczenie, trzeciej drogi jednak nie było. Tłumiąc gniew, napał na drzwi z całej siły. Zachrobotwały i ustąpiły jakby o palec. Zachęcony, nacisnął jeszcze mocniej, nie dbając o zgiełk. Drzwi nie chciały już dalej ustąpić, tylko skrzypiały coraz cieniej.

– Cóż tam! Hejże!

Zbieg skamieniał, ale za późno. Po drugiej stronie ktoś wiedział już, że Świątynia ma gościa.

– Ja ci dam włazić siłą! – burczał czyjś rozsierdzony głos, zbliżając się ku drzwiom. –

Lepiej czmychaj, skądś przyszedł!

Spytek odsunął się pod ścianę. Drzwi drgnęły, zachrobotwały i uchyliły się, wpuszczając do ciemnicy snop światła. Zbieg osłonił oczy, a głos rozległ się ze zdwojoną mocą.

– Po coś tu przylazł, żebracze jeden, jeno spokój zakłócasz!

Nie widząc innego wyjścia Spytek już zamierował prosić świątynnika o wybaczenie, kiedy kopniak w brzuch skutecznie pozbawił go oddechu.

– Tuś jest – sapnął napastnik. Nie mówiąc już nic, jął okładać „żebraka” razami, jednocześnie spychając go ku schodom. Twarde pięści i kolana padały gęsto i boleśnie.

Spytek odzyskał wreszcie oddech i odwinął się nagle, godząc napastnika łokciem pod żebro. Razy ustały na chwilę wystarczającą, by zbieg mógł odwrócić się i stanąć ze świątynnikiem twarzą w twarz. Oczy tegoż rozszerzyły się ze zdumienia. Godzien żebraka utyłany przybór nieoczekiwanego natręta nie licował z jego bynajmniej nie pokornym obliczem. Na widok zagniewanego mężczyzny w sile wieku w oczach świątynnika błysnął strach. Już otwierał usta do krzyku, kiedy zamknęła je żelazna dłoń Spytki.

Ale świątynnik też nie należał do łamagów. Zetknawszy się z oporem, rychło przedzierzgnął strach w gniew. Zaczęła się milcząca szamotanina.

W świetle dochodzącym od uchylonych drzwi błyskały zęby i białka oczu. Spętany krzepkim uściskiem Spytki mężczyzna nagle pchnął go na ścianę. Plecy zbiega gruchnęły o skałę, z ust dobył się jęk boleści, ręce zwolniły uchwyt. Świątynnik nie próżnował; złapał głowę przeciwnika w dłonie i zamierzał uderzyć nią o skałę, kiedy sam oberwał kolanem w krocze. Spytek chwycił mężczyznę za kark, pociągnął i kolanem zmiażdżył mu nos. Niespodziewanie świątynnik ujął go za kolana i szarpnął. Padli obaj, by przetoczyć się ku schodom. Spytek znalazł się na dole, w potylicę wraziła mu się krawędź pierwszego stopnia. Świątynnik nieubłaganie ścisnął przeciwnika za szyję. Tu ciemności nie rozpraszała już daleka łożówka. Spytek widział tylko czarny zarys głowy świątynnika, skąd na jego twarz spadały ciepłe i ciężkie krople krwi. Na darmo wił się i próbował ugodzić napastnika. Ten zapamiętał się już tak wielce, że zapomniał już nawet o wzywaniu pomocy. I kiedy czerń jego głowy i wokół niej zaczęła się już zlewać w jedno, tracący zmysły Spytek rzucił się kurczowo w dół schodów, jednocześnie podkulając nogi.

Świątynnik w okamgnieniu stracił oparcie. Próbował odnaleźć je wyciągając ręce przed siebie, ale już leciał na łeb, na szyję w dół schodów. Chrupot i łomot odbijały się ponurym, lecz coraz dalszym echem.

Spytek zjechał kilka stopni w dół, ale rychło przełamał słabość i zaparłszy się rękoma zatrzymał się, a potem podniósł niemrawo. Nie miał czasu do stracenia. Jeśli w ślad za nieszczęsnym świątynnikiem drzwi przekroczą kolejni, będzie mógł ratować się już tylko ucieczką w dół. A skoro wspinaczka schodami była niebezpieczna, to zejście nimi w pośpiechu było zwykłym samobójstwem. Utykając podszedł do drzwi i wyjrzał.

Przed sobą miał długie pomieszczenie oświetlone paroma łożówkami. Było puste, jeśli nie liczyć drewnianych ław. W polu widzenia nie było nikogo, zaś na wprost otwierał się mroczny przechód.

Drzwi miały z tej strony uchwyt i zasuwę. Zbieg zamknął je za sobą i ruszył do wyjścia. Nie znał układu budynków Świątyni. Mógł tylko mieć nadzieję, że znajdzie izbę sypialną jednego z najwyższych świątynników i dążąc ku niej, zmyli świątynnych strażców. Po cichu i ciemku zaczął wspinać się po schodach.

Z każdym jednak stopniem wyraźniej docierało doń szaleństwo całej wyprawy. Chciał oto odszukać Żercę, by ten wyjaśnił mu zawilóści grodzkiej sprawiedliwości. Ale jeśli Żerca nie zechce? Jeśli wezwie pomocy? Jeśli wreszcie Spytek go nie znajdzie, albo po drodze wpadnie w ręce strażców? Strach ciągnął Spytkę z powrotem do tajnego przechodu, ale powtarzając w myślach postanowienie, wspinał się dalej.

Podwórzec świątynny był ciemniejszy jeszcze, niżli obszerz u stóp wzgórza. Na darmo

próbował Spytek okiem i uchem wyluskać z czerni ludzkie postaci. Podwórzec mógł być równie dobrze pusty, co pełen przyczajonych świątynników. W całkowitej ciszy nawet oddech Spytka wydawał się wprawiać pomrokę w drzenie. Zbieg spojrzął po budynkach, piętrzących się pod zasnutym oparem niebem. W oknie najbliższego jaśniało światło. Być może to któryś z Żerców jeszcze nie spał.

Spytek najciszej jak umiał przesunął się ku ścianie budynku. Dłonią dotknął ościeży drzwi. Ostrożnie wymacał uchwyt i pchnął. Ustąpiły. Po chwili był już w środku, piędź po piędzi badając otoczenie, by wreszcie wstąpić na schody. Całkowitą ciemność rychło rozjaśniła narastająca poświata. Długo nasłuchiwał, nim wychylił głowę zza załomu.

Pełgające płomienie kilku łuczyw rzucały zmienne cienie na ściany długiego na kilkadziesiąt kroków przechodu. Otwory po bokach prowadziły do izb sypialnych; z niektórych dochodziło chrapanie. Wszystkie bez wyjątku były ciemne, choć oko wykol. Nie zdziwił się; rozświetlone okno położone było znacznie wyżej. Ostrożnie wyminął załom i podjął wspinaczkę.

Kolejne piętro również zatopione było we śnie. Dopiero na końcu najwyższego przechodu, obok pograżonych w mroku sypialni znalazło się jedno zamknięte pomieszczenie, spod którego drzwi dobywała się blada poświata.

To tu.

Spytka znów dopadła zhora. Zostawić całą rzecz i uciekać! huczało mu w głowie. Wiedział jednak doskonale, że zaszedł już zbyt daleko. Wstrzymując oddech, narzucił nakrywnię i ruszył na palcach ku drzwiom.

Nie miał pojęcia, jak wejść, od czego zacząć, co powiedzieć. Im bliżej znajdował się drzwi, tym mocniej z uwięzi zerwać się starały trwożne rojenia. Ale świadomy był, że teraz nie ma już odwrotu. Jego dola lub niedola czekała za tymi drzwiami.

Wtem dobiegł zza nich czyjś głos. Spytek zamarł. Światłne pasemko zamigotało, ktoś w izbie gotował się do wyjścia. Zbieg zdążył tylko wskoczyć w ciemność najbliższej izby, kiedy drzwi się otwarły.

Róg leża wbił się Spytкови boleśnie w plecy, ale ani pisnął. Przechoodem przemknął świątynnik. Zbieg nie zdążył dobrze mu się przyjrzeć, lecz sądząc po zgrzebnym przybiorze, nie był to Żerca.

Chrapania w izbie nie przerwało nagłe wtargnięcie Spytka. Korzystając z osłony ciemności jął zachodzić w głowę, co czynić. Nie słyszał, by ktoś zamknął drzwi na zasuwę, jeśli takową w ogóle miały. Założywszy, że świątynnik był sługą, w izbie przebywał pewno Żerca. Co zrobić jednak, jeśli sługa wróci? Jeśli Żerca wezwie pomocy?...

O mało co nie wałnął pięścią w niewidoczną ścianę. Już zadawał był sobie podobne pytania. Zagryzł wargi aż do bólu i wyszedł na przechód, a potem pchnął drzwi i wszedł do izby.

Leżący w pościeli świątynnik sięgał właśnie po dzbanek stojący na dotykającym leża stołku. Złowione w sieć zmarszczek oczy spojrzały ze zdumieniem na nieproszonego gościa, starczo oplamione ramię zamarło niepewnie w powietrzu.

Spytek padł na kolana i pochylił czoło.

– Wybacz – wydusił z siebie łamiącym się głosem, – czcigodny Żerco, że ośmielam się zakłócać ci spokój! Daruj mi tę łaskę, zezwól wygłosić swe troski i nie wzywaj sług, póki mnie nie wysłuchasz!

Na przeciąg chwili zapadła cisza, a potem rozległ się słaby głos.

– Łaskę daruję, a ty z łaski swej zamknij za sobą drzwi, bo moja łaska może nie starczyć, jeśli znajdziesz się na łasce pobudzonych.

Spytek wstał chwiejnie i odwrócił się, by drżącymi rękoma przymknąć drzwi.

– Czegóż chcesz ode mnie może wydalca? – zapytał Żerca, mrużąc oczy.

– Nie jestem wydalcą – wyznał Spytek, ściągając nakrywnię i kłaniając się nisko. –

Byłem śledczym, zostałem niesłusznie skazany, chciano mnie wydalić, ale uciekłem, bo nie pojmuję, czemu mnie skazano ani czemu Czterolicy nie pokazał mej winy – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Podnieś wzrok.

Spytek wykonał polecenie. W zwiotczalym obliczu oczy lśniły przenikliwie niczym krople rosy. Starzec dłuższą chwilę badał pokaleczoną twarz zbiega.

– Zabiłeś wydalcę, którego przybior nosisz? – spytał na koniec.

Spytek potrząsnął głową.

– Poraniłem jeno, jak i innych, ale bardzo być może, że któryś zmarł...

– I znaku żadnego nie masz?

– Nie mam.

Starzec pokiwał głową, a potem chwycił skraj pościeli i szarpnął.

Oczom Spytko ukazało się wychudłe ciało pokryte ciekącymi wrzodami.

– Przewiny bywają nieukazane, niewinność bywa naznaczona. – Starzec podciągnął pościel z powrotem, patrząc niewzruszenie w zdumioną twarz gościa.

Spytek przez chwilę poruszał niemo wargami. Po głowie tłukł mu się wciąż obraz owrzodzonego ciała. Wreszcie zdołał przekuć myśli w słowa.

– Czcigodny Żerco, skoroś niewinny, skąd te znaki?

Leżący wydał sobie dźwięk będący nie wiadomo, prychnięciem czy westchnieniem.

– Jeśliś jeszcze nie pojął, nie pojmiesz nigdy. To nie na twą głowę. Pierzchaj, zanim wróci mój sługa.

Spytek poczuł, że izba zaciska się wokół niego, że sklepienie zaraz nań runie i pogrzebie na wieki.

Żerca zamknął oczy, zdawał się nie oddychać. Może i nie oddychał, może w tej chwili oddał ducha...

Wtem z przechodu dobiegły szybkie kroki. Sługa! przemknęło przez głowę Spytko. Niewiele myśląc, zerwał się i stanął tuż przy ścianie obok drzwi.

Te otwarły się i wszedł ten sam świątynnik, co przedtem, dzierżąc dwa dzbany. Na własne nieszczęście spojrzął w stronę czającego się zbiega. Otworzył usta do krzyku, ale nie zdążył wezwać pomocy. Dzbany upadły i roztrzaskały się, kiedy ramię Spytko opasało szyję świątynnika. Szamotanina nie trwała długo, nogi mężczyzny rychło przestały wierzgać. Spytek ułożył świątynnika na polepie, mając nadzieję, że jeszcze odzyska dech, i spojrzął na leże.

Starzec uniósł już był powieki, ale milczał. Spytek czuł doń za to wdzięczność. Nie zwlekając, odwrócił się i wybiegł.

Jeden ciąg schodów dzielił go od podwórca, kiedy z góry dobiegły odgłosy zamieszania. Zgiełk wzmógł się jeszcze, kiedy zbieg wypadł na otwartą przestrzeń. Okno Żercy nie było już jedynym, w którym jaśniały łojówki. Ktoś domagał się pomocy, ktoś wzywał strażców.

Spytek dopadł schodów prowadzących do podziemnej izby. Szczęściem była pusta. Ścigany tupotem nóg dobiegającym z podwórca, drapnął ze stołu łojówkę, otworzył drzwi tajemnego przechodu i ruszył po schodach.

Pot perlący się zbiegowi na czole ostygł, owiany chłodem jaskini. Stąpienie po śliskich stopniach wymagało skupienia, a temu nie pomagał ból obitego ciała ani świadomość, że najpewniej cała Świątynia już pobudzona i wszyscy szukają zbrojcy. Spytek zagryzał wargi, wycęzał wzrok i niestrudzenie zdązał w dół.

Przystanął dopiero, gdy po prawej stronie otwarła się pustka. Płomyk łojówki dobywał z ciemności lśniące wykwitły i cudaczne gruzły skalne. W dole między zrębami tkwiło zgruchotane ciało świątynnika.

Zbiegiem wstrząsnął dreszcz. Sunąc ramieniem po skale ruszył byle dalej, byle w dół.

Dopiero, gdy już zaledwie kilka kroków dzieliło go od wyjścia na obszerz, z góry dobiegły krzyki. Zdradziecka zasuwa! Ale to nie miało już większego znaczenia. Rzuciwszy

łojówkę, wychynął ze skalnej szczeliny. Nasłuchiwał chwilę, a potem rozgarnął krzewy i wciągnąwszy nakrywnię, ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Wiedział, że teraz nie czeka go już wydalenie, że dla takich jak on jest ostrze, a potem zamiast spalenia i rozsypania na żalniku w cieniu prawiecznego kamiennego słupa, zatopienie w gnoju. Jeśli chciał żyć, trzeba mu było samemu udać się do Podgrodzia. Tylko jak? Opustnię wykluczał, bram nie otwierano odkąd pamiętał, chyba jedynie spuszczenie się z wału na powrozie było możliwe, ale nie teraz, kiedy wszyscy strażcy i całe miasto poszukiwać będzie zbiega, kiedy i wał wnet zostanie silniej obsadzony. Nie pierwszy raz ktoś skazany na śmierć próbował zbiec do Podgrodzia, od przykładnego skonu woląc upodlenie życia pośród zbrodzeni.

...niewinność bywa naznaczona...

Dlaczego to on miał ponosić karę? Dlaczego miał wybierać między dwiema możliwościami nie do przyjęcia? Szukał w sobie winy i znajdował ją w wykrzywionych bólem twarzach, ale pierwiej to Radzcy i wydalcy popełnili wobec niego przewinę, która pchnęła go do zbrodni. A teraz jeszcze pokazało się, że w tym Grodzie, który oczyszcza się wyrzucając za wał wszystkich ujawnionych znakami Czterolicego, ludzie naznaczeni mogą mieszkać spokojnie, jeśli tylko otoczenie nie ma woli ich wydania. A może Żerca istotnie był niewinny? A Olsza? Tylko po co w takim razie te świątynne pochody? A on sam, czemu jest zdrów, choć wciąż czuje, jak wierzgające nogi tracącego dech świątynnika biją go po kostkach?

...to nie na twą głowę...

Nie patrzył, dokąd idzie, spostrzegł się dopiero, kiedy zapędził się w ślepy zaułek. Miał już zawracać, kiedy postyszał kroki. Zdażył schować się za załomem lichej chałupy, zanim drogą przebiegło kilku wydalców. Dopiero teraz do jego świadomości dotarło, że od dłuższej chwili z wysokości opoki ktoś dmie w róg na cały Gród.

Mógł liczyć, że w przebraniu wydalcy uda mu się jakiś czas mylić pogoń, ale nie mógł dojść, po cóż podejmować ten wysiłek. Uprzytomnił sobie boleśnie, że koniec końców czeka go albo śmierć, albo ucieczka do Podgrodzia. Żaden wybór.

Drogą przebiegła dwójka. W każdej chwili ktoś mógł zechcieć sprawdzić zaułek i w najlepszym razie dołączyć zbląkanego wydalcę do pościgu za zbrodzeniem, w najgorszym zaś rozpoznać w nim tegoż.

Zaszyć się gdzieś, przeczekać, może coś się zmieni, może uda się coś wymyślić, łudziła się uporczywie część umysłu zbiega. Rozejrzał się bez przekonania. Zaułek kończył się wzgórzem porośniętym ziele. Cennych roślin strzegł chruściany płot, lecz susza sprawiła, że ostatnio nie było czego. Spytek przesadził ogrodzenie i wbiegł po pochyłości, bacząc, by nie stracić w dół grud ziemi. I tu zajrzy w końcu pogoń, ale na razie mieli się gdzie uganiać.

U wierzchołka zamajaczyła ława. Zbieg spoczął z ulgą i rozejrzał się po Grodzie. Jak okiem sięgnąć pałały świecidła, opromieniając rozbiegane ludzkie postaci. Róg już ucichł, wykonawszy zadanie. A jeszcze dalej, za odległym wałem, gdzie nie sięgały miejskie dźwięki i światła, rozciągało się mroczne i milczące Podgrodzie.

Nie, nie mroczne. W wyrzuconej pradawnymi czasy poza nawias przestrzeni coś migotało, jaśniało, pałało. A czy milczące? Pomagając przy opuszczaniu skazańców Spytek słyszał przecież odgłosy życia podgrodzian.

...to nie na twą głowę...

Znów spojrzął bliżej, w obręb wałów. Pod czaszką kłębiły mu się niewyrażone, wręcz niewyrażalne myśli. Niewidzącym wzrokiem wiódł po nieprzeliczonych wzgórzach i budowlach Grodu, w którym spędził cały dotychczasowy żywot. Mógł go tu dokonać, lub ująć za wały. Trzeciego wyjścia nie było.

Błądzącym oczom ukazały się długie budynki wyziewni przy wale. To tam przerabiano gnój na palne wyziewy, dostarczające miastu ciepła i światła. W bezwietrzne dni cuch zgromadzonych odpadów zalegał w całym Grodzie. Wpaść teraz w łapy wydalcom oznaczało

zasilenie gnoju własnym ciałem.

Z pamięci Spytka wypłynął obraz świątynników z pochodniami, wbrew zakazowi prowadzących swój pochód w pobliże wyziewni. Gdyby tłoczone do wodów wyziewy uległy zapłonowi, w powietrze wyleciałoby ćwierć miasta, a przynajmniej sama wyziewnia i wał.

Gród scaliłby się z Podgrodzem.

Naznaczeni wymieszaliby się z czystymi, zbrodniarze z niewinnymi.

Nie trzeba byłoby uciekać.

Spytek poczuł, że gdzieś pod jego czaszką coś drętwieje, a coś innego się spręża. Jak przebyć dzielące od wyziewni grudziaste wzgórza i niebezpieczne drogi, jak ocalić ludzi od śmierci w wybuchu, jak doprowadzić do niego samemu uchodząc z życiem, pytał rozum, ale Spytek już nie słuchał.

...to nie na twą głowę...

Zerwał się i puścił przed siebie.

Gnający Spytka wicher nie pozwalał zważać na względy ostrożności. Dwójkę strażców, na którą wpadł, rozciągnął na ziemi ciosami pięści, niebaczemu wydalcy skręcił kark, nim ten wezwał pobratymców. Zwykli grodzianie nie śmieli stawać mu na drodze, choć pędzący w pojedynkę na wskroś przez wzgórza i drogi pewnikiem wzbudzał podejrzania. Raz tylko jakiś dziad próbował wzbronić przejścia przez swe wzgórze, ale dzikość błyszcząca w oczach biegnącego zamknęła mu usta.

Szybciej, niżli się spodziewał, znalazł się na wzniesieniu górującym nad wyziewnią. Pod sobą miał zabudowania odgródzone wysokim wałem. Ostatni raz rzucił okiem po okolicy. Na wschodzie rysowały się pierwsze pasma rodzącego się dnia. Być może słońce wstanie już nad Grodem odmienionym nie do poznania.

Zbiegł w dół, wypatrując ruchu na podwórcach wyziewni. Na próżno. Niedostatek wody spowodował zmniejszenie obrotów, większość robotników spała lub siedziała w domach.

Ziemia i glina rwała się pod dłońmi i stopami, lecz Spytek nie ustawał. Pokonawszy wał, przebiegł podwórzec i zapadł w cuchnącą ciemność między budynkami. Znał je, był tu wiele lat temu, kiedy wielu robotników zapadło jednocześnie na ujawniające dolegliwości.

Woły, których niewidoczne cielska kręciły kilka chroboczących kołowrotów, obojętnie przyjęły jego wtargnięcie. Nie inaczej postąpił śpiący gdzieś nieopodal robotnik, którego chrapanie wzbijało się ponad zgiełk. Obszerne wnętrza budynków wyziewni spowijała gęsta od smrodu ciemność. Tu nawet w słoneczny dzień panował półmrok. Obecność olbrzymich, starożytnych zbiorników z kiszącym gnojem, którego wyziewy siłą wołów wtłaczano do wodów wychodzących na Gród sprawiała, że na całym obszarze obowiązywał zakaz stosowania ognia.

Który zaraz miał zostać złamany.

– Ktoś ty!

Słowa brzmiały bardziej jak groźba, niżli pytanie. Spytek zaklął w myślach. Założył był, że wołów pilnuje jeden człowiek, który właśnie śpi, a przecież bez bata nad sobą zwierzęta stanęłyby w miejscu.

W ciemności przybiór wydalcy nie dawał wymówki. Spytek na słuch ustalił, gdzie stoi mężczyzna, i wpadł nań z całą siłą. Wymierzył dobrze, ale już powalając przeciwnika na ziemię poznał, że mierzy się ze zwalistym osiłkiem, którego lepiej unikać. Nie omylił się. W zwarciu rychło stracił początkową przewagę i znalazł się pod spodem. Raz i drugi przypadkowo odbił twarde pięści, ale od trzeciego ciosu nie zdołał się zasłonić. Ciemność rozbliżyła i zadygotała. Zasłonił twarz, wciąż bezowocnie próbując wyzwolić się z ucisku. Wtem któryś z wołów zaryczał, chrobotanie kołowrotów przycichło. Osilek wymierzył zbiegowi cios, po którym ten na chwilę stracił przytomność, i wstawszy jął kląć i strzelać z bata.

Spytek pozbierał myśli do kupy i przetoczywszy się, z trudem wstał. Pastuch nadal batożył odporne woły. Naprowadzony cedzonymi wściekle klątwami Spytek zaszedł mężczyznę

od tyłu i z całych sił pchnął. Wół padł z rykiem i łomotem do przodu, kiedy nieoczekiwana przeszkoda podcięła mu nogi. Krzyk mężczyzny urwał się jak ucięty nożem.

Chrobotanie kołowrotów znów przycichło. W ciemności nie rozlegało się niczyje wołanie. Spytek był w budynku sam, nie licząc śpiącego mężczyzny.

Którego chrapania nie było słychać.

Poczuł dreszcz na myśl, że gdzieś czaić się może drugi osiłek, który wiedząc o doli pierwszego nie będzie zabawiał się w bijatykę na pięści, tylko dołoży zbrodniowi pałką. Albo zaraz wróci z zastępem robotników.

Nie było czasu do stracenia.

Idąc ku zbiornikom sięgnął po schowane pod wdzieniem krzesidło. W drewnianej oprawce zagrzechotały krzemienie. Dosunął zapadkę; zazgrzytały. Teraz wystarczy ścisnąć, a trysną iskry i wszystko wyleci w powietrze.

Wtem coś skręciło go w żołądku. Pochylił się, jedną ręką wsparł o polepę, drugą chwycił kurczowo za brzuch. Walcząc z rzygiem, wypuścił z dłoni krzesidło.

Upadło z ostrym zgrzytem.